

WIECZORY RODZINNE



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

WIZERUNKI KRÓLÓW i KSIĄŻĄT POLSKICH

w zeszytach do kolorowania z tekstem
ułożonym przez *H. MOŚCICKIEGO*

nabywać można w pierwszorzędnym księgarskim
i składach materiałów piśmiennych i zabawek

SKŁAD GŁÓWNY

Towarzystwo Wydawnicze „ŚWIT“.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06.

52. 109. 6.

W ADMINISTRACJI

„Wieczorów Rodziny“

I W KSIĘGARNIACH

SĄ DO NABYCIA

NASTĘPUJĄCE ZAJMUJĄCE I TANIE

KSIAŻKI DLA MŁODZIEŻY.

- Warren Bell.* Tajemnice szkoły
cena w opr. płóc. kop 75
- K. May.* Kiang-lu czyli Rozbójni-
cy chińscy „ 75
- H. Malot.* Roman Kalbris . . . „ 75
- Kapitan Mayne Reid.* Zdziera-
cze czupryn „ 80
- A. Grudzińska.* Mnich, powieść
historyczna „ 60
- Wł. Umiński.* W krainie wscho-
dzącego słońca, pow. z życia
dzieci japońskich z rycinami
w oprawie rb. 1
- W. Umiński.* Synowie puszczy
powieść „ 1
- K. May.* Karawana Niewolników
z rycinami „ 1

Na żądanie, książki wybrane, wysyłamy za
zaliczeniem pocztowym.

ROZMAITOŚCI.

Niespodzianki wiosny.

Donoszą z Rosji, że w wielu
miejscowościach spadła tam masa
śniegu, ale prawdziwym zjawiskiem
a nadto kłęską były zawieje śnie-
żne pod Moskwą, na Kulikowem
Polu. Pociąg osobowy, idący po
linji kolei uralskiej, uwiązł w za-
spach, d. 11 maja, i dopiero po
dwunastu godzinach odkopywania,
ratownicze parowozy wydobyły go
z nich nareszcie.

Pałapka.

Przy dostawianiu pieniędzy z opan-
cerzonego, i wielkich rozmiarów
skarbcza w Pradze czeskiej, zam-
knięto, wskutek niestrożności, dwóch
urzędników, którzy mieli klucze od
dzwi wejściowych przy sobie. Mo-
żna sobie wyobrazić przestrach tych
przymusowych więźniów! Gdy usi-

łowania monterów miejscowych, aby
otworzyć kasę, okazały się niedo-
stateczne, wezwano pomoc z Ber-
lina, a tymczasem przedsięwzięto
różne środki dla dopuszczenia przy-
pływu powietrza duszącym się ofia-
rom. Najpierw zatem mechanicy
wywiercili w pancerzu spory otwór,
którymby świeży prąd wpadał do
wnętrza, następnie, za pośrednic-
twem gumowego węża odżywiają-
cych nieszczęśliwych płynnymi pokarma-
mi, co im naturalnie dało możliwość
wytrwania w złotej pałapce. Do-
piero po całodziennym szturmie,
bramy fortecy zostały wyważone
i dwaj więźniowie wypuszczeni na
wolność. Podobno Bank, którego
skarbiec był własnością, wyprawił
dla oswobodzonych wspaniałą ucztę,
ażebym choć cośkolwiek zatrzeć wra-
żenie przeżytej trwogi.

POCZTÓWKI

KOPIE Z OBRAZÓW W BARWNEM WYKONANIU I NA PAPIERZE
BROMOSREBRNYM POLECA W WIELKIM WYBORZE HURTOWY SKŁAD

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„ŚWIT“

w Warszawie

Krak. Przedm. 69.

Krak. Przedm. 69.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

DO POWIEŚCI „SPRZYMIERZEŃCY“.



Bomba potoczyła się, rozwarła ziejącą paszczę poszarpała obuwie władcy i zgasła.

Sprzymierzeńcy.

POWIEŚĆ Z ROKU 1812.

(Ciąg dalszy)

Z. MORAWSKA.



ak był zajęty oglądaniem ich i zawianiem napowrót, że nie silił się do cieć, skąd się nagle wzięły.

Nagle zatrząsł się cały.

— Datasza je skradła, a teraz przyniosła. Przyniosła, żeby mnie łatwiej otumanić — szepnęła. — Tak, to nie był sen, gorączka, jeno ta przeklęta wiedźma!

I przeżegnawszy się, szeptał modlitwę.

— Może w tych butach zostawiła czary? — przyszło mu nagle na myśl. — To i cóż? Krzyż święty wszelkie zło odpędzi!...

I opakowawszy napowrót znalezione buty, nic nie mówiąc nikomu o dziwnej przygodzie, zabierał się wraz z innymi do dalszej podróży.

XVIII.

B O M B A.

O północy wszyscy byli gotowi do drogi.

Opuszczano Smoleńsk, jak przed tygodniem opuszczano Moskwę.

Z tą tylko różnicą, że wychodząc z Moskwy każdy niósł żal w sercu za przerwanie miłego wypoczynku, obecnie każdy niósł w sercu niepewność swego losu, głód w żołądku, przygnębienie i zniechęcenie do życia.

Sprzymierzeńcy Rosyi, mróz i głód, stawili się z całą zaciętością.

Ostatnie dni października prażyły mrozem dziesięć stopniowym, sypały śniegiem, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali.

Lecz Smoleńsk opuszczano również nie bez żalu.

Ludność polska zamieszkała tam od lat wielu, żywiąca nadzieję, że gdy zdobyte miasto utrzyma się w rękach polskich, doła ich się polepszy, dzieliła się ostatnim kęsem z polakami.

Znaleziono też dużo żołnierzy, którzy z powodu ran odniesionych przy zdobywaniu miasta, nie mogli powlec się za armią, idącą wówczas na Moskwę. Dziś wyleczeni, z niewielkimi jeszcze wprawdzie siłami, wlekli się z armią, wierząc w wielkie zamiary i szczęśliwą gwiazdę władcy.

— Napoleon jest z nami!

— Obiecał odbudować ojczyznę! — mówiono.

Z tem hasłem i wiarą w szczęśliwą gwiazdę

i geniusz wielkiego wodza-monarchy; każdy zbierał ostatki sił, by je złożyć na ołtarzu żywionej w sercu idei.

Napoleon w narzuconej burce na krótki kuzuszek, w barankowej czapce, uszytej naprędce w kształt ulubionego kapelusza, jechał na czele gwardyi. Zdawał się nie czuć mrozu i śniegu.

W duszy jednak powtarzał:

— Sprzymierzeńcy... przekłęci sprzymierzeńcy!...

Gdy odwrócił się i ujrzał na tle białego śniegu wlokące się szeregi, zgrzytnął zębami.

Niemniej zawołał:

— Przez Wiaźmę do Możajskaja! Przewodnicy naprzód!

Wreszcie dodał:

— Ponieś ten rozkaz dowódcom!

I spał konia ostrogami, który dysząc i robiąc bokami, kopał śnieg.

Gdy rozkaz doszedł do dowódców, przyjęli go z wielkim żdziwieniem. Zwłaszcza polacy, znający lepiej okolicę i warunki miejscowe, niż cudzoziemcy, mówili do siebie:

— Czemuż nie przez Medynę?

— Droga prostsza i mniej ogołocona.

— Tędy przechodziliśmy przed dwoma niepełną miesiącami, idąc do Moskwy, wsie zniszczone, bydło zjedzone — mówiono.

— Chyba, że na polach wśród śniegu wyrosła trawa i zboże! — dodawano z ironią.

Mimo tych uwag stosowano się ślepo do rozkazu władcy.

Wojsko przywykłe do posłuszeństwa nie zdawało sobie sprawy.

Kazano iść, szli.

Dokąd?

Nikt im tego nie oznajmiał.

Po co?

I tego nie wiedzieli. Lecz w sercach szeregowców istniała też sama nadzieja, też sama wiara w Napoleona i myśl o wypełnieniu obietnicy, co i w sercach tych, którzy nimi kierowali.

W południe mróz zelżał, śnieg przestał sypać i zaczął tajać.

Cesarz nakazał postój w widniejącej opodal wiosce.

Przyjęto rozkaz z radością. Jakikolwiek dach

w jakichkolwiek warunkach zawsze się uśmiecha po długim znużeniu.

Jakieś głucho pomruki poczęły dochodzić z lewej strony.

Najwyraźniej kanonada.

— Bitwa!... — mówiono w szeregach.

— To naszych, zdążających za armią, przą — mówiono w szeregach.

Nie, to marszałek Ney i Davoust staczali bitwę z następującymi im na pięty wojskami Kutuzowa.

Otrzymali oni poprzednio rozkaz Napoleona, ażeby opóźnili swój wymarsz ze Smoleńska i zasłaniali armię od zachodu.

Lecz kanonadę słycać było z przeciwnej strony.

Niepokoilo to nawet samego cesarza.

Wysłał zaraz mały oddziałek na zwiady; sam zaś wraz z całą armią dążył na upragniony odpoczynek.

Wtem z pobliskiego lasu ukazuje się duży oddział kozaków.

Lecą jak wicher.

Okrążają dokoła gwardyę, wśród której jechał Napoleon.

Okrążają tak, jak gdyby im ktoś wskazywał,

gdzie się znajduje ten, który wojska swe na Rosję prowadzi.

Gwardya dzielnie odiera natarcie.

Wojska zasłaniające lewy bok armii są daleko. Słyszą utarczkę, chcą biec, lecz konie lgną w rozmiękłym śniegu.

Garstka holendrów idąca powoli bliżej głowy armii, zrzuciła z siebie zwykłą swą ociężałość. Dowódcą tej małej garstki był pułkownik Clinot, wysłany przez Napoleona dla zastąpienia właściwego dowódcy, który zachorował.

Zacny pułkownik, ujrawszy kozaków, przypomniał sobie utarczkę w powrocie z obozu księcia Poniatowskiego.

Łupy, jakimi się wówczas obłowił, dodały mu i teraz odwagi.

Zachęcał więc swój oddziałek:

— Kozacy! Możemy mieć łup doskonały!

Dobylali więc wszystkich sił, łakomi na zdobycz holendrzy. Gdy przybyli z odsieczą, walka już była skończona.

Gwardya składająca się z francuzów i polaków, dzielnie odparła napad.

Setka kozaków rannych lub zabitych walała się w błocie.



Clinot zaharczał i padł na drgające ciało swojej ofiary.

Clinot chciał z tego skorzystać. Nachylił się nad leżącym i pokaźnie odzianym kozakiem.

Wtem jeden z uciekających wbił mu dźbę w plecy z dzikim okrzykiem:

— Dla ciebia!

Clinot zaharczał i padł na drgające ciało swojej ofiary.

Holendrzy nie mieli na ten raz pola do okazania swej odwagi; mieli za to doskonałą sposobność do obłowienia się kozackimi pieniędzmi. Nie powstrzymała ich nawet śmierć dowódcy.

Inna zupełnie okoliczność zajmowała przedzonedoną podczas bitwy gwardyę.

Jakiś młody kozak przedarł się tuż do Napoleona, rzucił mu pod nogi spory, okrągły przedmiot i wrzasnął:

— Za Kremlin!

I znikł błyskawicznie wśród walczących.

Napoleon nie zrozumiał okrzyku, po kształcie tylko rzuconego przedmiotu domyślił się bomby.

Źle jednak musiała być nabita.

Nie sprawiła pożądanego skutku.

Leżała spokojnie.

Napoleon, przypatrzawszy się jej z gorzką ironią, rzekł:

— Nie widziałem cię dawno!

— Precz! — i uderzył niebacznie nogą *).

Bomba potoczyła się, rozwarła ziejącą paszczę, poszarpała obuwię władcy i zgasła, nie czyniąc żadnej innej szkody.

— Fuszer ten, co ją nabijał! — rzekł ironicznie cesarz.

A gdy najbliżej będący skupili się koło niego z przerażeniem, zawołał z najzupełniejszym spokojem:

— Niech mi dadzą inne obuwię!

Znaleziono szczęśliwie w zapasowym osobistym furgonie cesarza, parę obuwię przeznaczoną pewnie na mrozy.

Włożył je i rzekł:

— Trochę za ciężkie!

— Chronić mnie będą od jednego ze „sprzymierzeńców“ — dodał.

I zabierał się do zasłużonego spoczynku.

Wtem przybył wysłany patrol.

— Marszałek Ney i Davoust staczają bitwę. Odcięci są z zachodu od naszej armii — raportował oficer.

— Wezwać generała Durosnela! — rzucił w odpowiedzi władca.

— Chłaposki! — wrzasnął na mającego w tym dniu dyżur adjutanta.

Zjawił się w tej chwili.

— Weźmiesz swoje szwadrony i pójdiesz z Durosnelem!

Nie jadł i nie odpoczął, i nie pytał też, czy kto jadł i odpoczął...

Przybyłemu generałowi Durosnelowi rzucił:

— Iść w pomoc marszałkom Neyowi i Davoust z 2 batalionami; zająć tył nieprzyjacielowi i połączyć nasze wojska z armią. Generał „Chłaposki“ idzie z wami! — dodał.

I ruszył wraz z resztką armii ku widniejącej osadzie Michalewce.

Nagle jakby coś sobie przypomniał:

— A księżę Poniatowski?

Jednocześnie usłyszano kanonadę od wschodu; coś, jakby koło Małego Jarosławia.

— Tiens! (Znów!) Sapristi! — mówił władca.

I począł kląć po francusku, mieszając włosko-korsykańskie przekleństwa.

Kazał też natychmiast dowiedzieć się, co się dzieje z księciem Poniatowskim i jego obozem.

W jakiś czas przybył oficer raportując:

— Księżę Poniatowski otoczony przez oddział rosyjski przy wyjściu ze Smoleńska nie mógł iść za armią; stacza bitwę!

— Ten zwycięży! — mruknął Napoleon.

— To jego kule tam świszczą! — dodał.

Uspokojony zasiadł do posiłku.

Po krótkim wypoczynku, kazał rozstawić czaty i iść dalej.

Nie posunęli się wiele.

Napotymano wąwozy przepelnione śniegiem, jak podczas głębokiej zimy. Słońce, które wyrzało na chwilę i roztopiło powierzchnię śniegu, teraz schowało się.

Mróz się wzmagał, księżyc wypłynął na pogodne, wyiskrzone gwiazdami niebo, a wiatr północny smagał nielitościwie.

Smutna perspektywa zatrzymania się w czystym polu nie uśmiechała się nikomu.

Nie uśmiechała się widocznie i samemu władcy. Klął wszystkimi językami.

Wyrzucił nawet kilka najdosadniejszych klątw rosyjskich, których się w Moskwie nauczył.

Wywierał też zły humor na każdym, kto mu się nawinał.

Wtem wicher przyniósł odgłosy strzałów i kanonadę z zachodu.

*) Z pamiętników Dezyderego Chłapowskiego.

Z TRIPOLITANII.

WRAŻENIA PODRÓŻNIKA.

c. d.

ŻYCIE TELEGRAFISTY W POŚRÓD PUSTYNI.

O 11 rano przybywamy do Burtemy, stacji telegraficznej w pustyni Syrtyńskiej. Spotykamy tam kilku nędznych arabów i syryjskiego telegrafistę M., który tutaj, jak mi się zdawało narazie, jest wygnany, jakby za karę. Ale niebawem przekonuję się, że była to z mojej strony pomyłka, bo ten pocziwy człowiek nie czuje się bynajmniej nieszczęśliwym. Jest mu tu, jeżeli nie bardzo dobrze, to znośnie. Lubi świeże powietrze, więc wcale nie narzeka. Lubi nawet takie przenoszenie się z miejsca na miejsce. Zrobił sobie niezły zapas wina daktylowego i palmowego, nie licząc paru butelek koniaku, zakupionego na wyjeździe w mieście. Zabawia się jak może, łowi ryby w pobliskiej rzece przy pomocy dynamitu. Jeden nabój rzucony z knotem palącym się w rurce na dno wody, wybuchnąwszy ogłusza mnóstwo ryb i innych mieszkańców rzeki; jego połów jest tak bajeczny, że arabowie uważają za korzystne dla siebie pomagać mu w tem rabunkowym rybołówstwie. Jeżeli im jeszcze da oprócz paru sztuk swej zdobyczy trochę wódki, nic im już do szczęścia nie brakuje.

Ma on pewne zasługi, uzbroidł bowiem swoich towarzyszy samotności arabów, i kiedy włośi, udając się na bombardowanie Syrty, chcieli dla przecięcia drutów wylądować tutaj, przyjęto ich podobno tak rześystym ogniem karabinowym, że na powrót wsiedli na swoje statki, pozostawiając stację nienaruszoną. Posłali do niej tylko kilka granatów, które nie wyrządziły szkody.

Oświadcza on gotowość pożyczania mi dwóch koni i dania towarzysza do Bengazi. Jest to gadała dość interesujący, zapraszam go do siebie na obiad wieczorem.

„KLUCZ“ I „SPIEWAK“.

14 marca przybywa dwóch żandarmów arabskich z Syrty. Jeden z nich nosi piękne imię „Klucz“ drugi zaś „Śpiewak“; ten ostatni pochodzi z bitnego plemienia Sennuci. Modli się on codzień wieczór i rano do Mahometa i Ałłacha; jest znać pobożny. Natomiast „Klucz“ pali namiętnie papierosy i pije wódkę, co jak wiadomo jest wiernym wzbrownione.

Jeden z moich ludzi nosi na głowie rodzaj koniaku, który mu służy za wieciorek. Co wieczór udaje się on na połów i przynosi zwykle parę ryb świeżych, które nam bardzo urozmaicają pożywienie. Upał staje się coraz nieznośniejszy. Żandarmi schodzą z siódła, owijają głowy burnusem i kładą się na skraju diuny piaszczystej, z cuglami owiniętymi około ręki. Konie ich doskonale pojmując swoje zadanie, stają tak, żeby ich panowie korzystali z cienia rzucanego przez ich ciało.

Po krótkim śnie ruszamy w dalszą drogę. Od czasu do czasu galo-

puję nad brzeg morski, póki fala nie zacznie opłukiwać kopyt mego wierzchowca; odpoczywamy na plaży. Biorę kąpiel, która znakomicie mnie orzeźwia.

Maszerujemy cały wieczór; nareszcie zatrzymujemy się w „ogrodzie“. Ogród ten, jak się rankiem pokazało, składał się z paru kępek spalonej trawy i dwóch mizernych krzewów. Osiedli-



Narada dowódców arabskich.



Stacja telegrafu w pustyni.

ła się tutaj rodzina arabska wygnana z Tripolisu skutkiem prześladowania ze strony włochów. Za cały majątek zostały jej jagnię i kura, która mi dała dwa jajka.

Słyszę następującą rozmowę:

— Kto jest tym, co towarzyszy naczelnikowi i tłumaczy nasze słowa?

— Jest to przyjaciel karawany — odpowiada jeden z moich ludzi.

— Naczelnik karawany ten gjaur, kim on jest?

— Jest to bej, pasza, kebir. Powiadają, że pisze do dzienników. Ale my wiemy, że przybywa tutaj, żeby robić zapasy, po naboje, po to żeby przygotowywać bomby w tych puszkach blaszanych, czerwonych, które niosą jego wielbłądy.

— Jest to jakiś znakomity człowiek.

15 znowu natrafiamy na stację telegraficzną, która znajduje się w namiocie przy studni, obok mizernego krzaczka. Dokoła diuny piaszczyste i nic więcej. Sól błyszczy na nich w promieniach słońca, jak brylanty. Od czasu do czasu widać morze.

Spotykamy murzyna niosącego worek listów na plecach i worek skórzany z trochę wody. Z taką prowizją człowiek ten przebywa pustynię z Mesraty do Syrty i odwrotnie.

(d. n.)

W. U.

O. CONAN DOYLE.

ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE I PANA EDWARDA MALONA CZŁONKA REDAKCYI „GAZETY CODZIENNEJ“.

c. d.

PRZEKŁ. Z ANG. M. G.

— Gdy zdradzi on najłżejszy objaw niezadowolonia, wychodź pan natychmiast z pokoju. Nie probuj żadnych argumentów. Wielu już ludzi poniosło szwank, dlatego, że to czynili. Wynikają z tego potem głośne skandale, które odbijają się na mnie i na nas wszystkich. Przypuszczam, że pańska bytność nie ma nic wspólnego z południową Ameryką.

Nie mogłem okłamywać takiej kobiety.

— Boże mój! To najniebezpieczniejszy przedmiot... Pan nie uwierzysz ani jednemu jego słowu i wcale się temu nie dziwię... Ale nie mów mu tego, bo to doprowadza go do strasznego uniesienia. Udawaj pan, że mu wierzysz, a mo-

że uda ci się ujść cało. Pamiętaj, że on sam święcie w to wierzy. Możesz pan być tego pewnym... Uczciwszego człowieka niema na całym świecie! Ale jeśli spostrzeżesz jakiś objaw niebezpieczny, rzeczywiście niebezpieczny, zadzwoni i staraj się go ułagodzić, dopóki nie nadbiegnę. Zwykle nawet w najgorszych chwilach potrafię go uspokoić.

Po tej zachęcającej przemowie, pani profesorka oddała mnie milczącemu Austinowi, który stał jak śpiżowy pomnik dyskrecyi podczas naszej krótkiej rozmowy; a on powiódł mnie w głąb korytarza. Zastukał do drzwi, z wnętrza pokoju odpowiedział jakiś ryk i w tej samej chwili stanąłem oko w oko z profesorem.

Siedział on w krześle ze śrubą, przed obszernym stołem, zarzuconym książkami, mapami i rysunkami. Gdym wszedł, krzesło zakręciło się jak wrzeczono w moją stronę. Tchu mi zabrakło w obec tego, com ujrzał! Byłem przygotowany na jakiś niezwykły widok, ale nie na ujrzanie równie zdumiewającej postaci... Zwłaszcza jej rozmiary wstrząsnęły mnie do głębi; rozmiary jak i wygląd imponujące. Głowa ogromna, największa, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć na ludzkim tułowiu. Nie wątpię, że gdybym włożył profesora cylinder, jeżelibym się na to odważył, spadłby mi na ramiona. Twarz i broda przywiodły mi na myśl czczonego w Asyrii byka; twarz o kwitnącej cerze, broda tak czarna, że aż wpałała w ciemny granat, rozłożysta jak łopata i skręcająca się w loki na piersiach. Włosy miał osobliwe, przyklepane z przodu w długi, zakręcony pukiel na potężnym czole. Oczy niebieskoszare, wyglądały z pod wielkich kęp czarnych włosów, bardzo jasne, bardzo badawcze i bardzo przenikliwe! Rozłożyste ramiona i klatka piersiowa wypukła jak beczka, ukazywały się nad stołem w towarzystwie dwóch rąk olbrzymich, porośłych długimi, czarnymi włosami. Oto co mnie uderzyło w osobie profesora Challengeera, zanim jeszcze ryknął głosem grzmącym i potężnym:

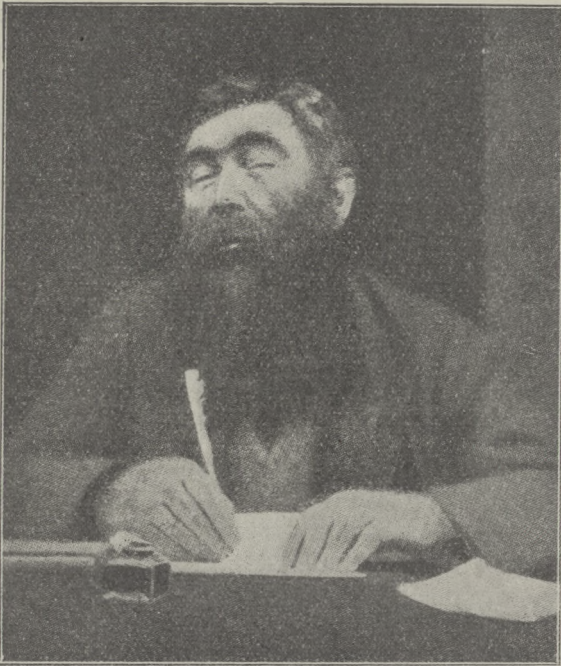
— I cóż! — zaryczał, patrząc na mnie wyzywająco. — Cóż teraz?

Musiałem bądź co bądź podtrzymać jakiś czas mój podstęp, jeżeli wywiad nie miał skończyć się odrazu.

— Pan był łaskaw udzielić mi posłuchania — wyrzekłem pokornie, wyjmując kopertę listu.

Wziął mój list, złożony na biurku i położył przed sobą.

— A to pan jest tym młodzieńcem, co to



Profesor Challenger w swoim gabinecie.

nie rozumie zwyczajnej angielskiej mowy, co? I który jest tak łaskaw, że raczy nie godzić się na moje ostateczne wnioski, jeżeli dobrze zrozumiałem?

— Ależ zgadzam się, panie profesorze! zgadzam się najzupełniej! — wyrzekłem z silnym naciskiem.

— Na szczęście! To bardzo wzmacnia moje stanowisko, nieprawdaż? Pański wiek i powierzchowność nadają podwójną wartość temu poparci. Ale w każdym razie jesteś więcej wart, niż ta trzoda świń w Wiedniu, których zbiorowe chrząkanie tyle mnie obchodzi, co kwik pojedynczego, angielskiego wieprza...

Popatrzał na mnie tak, jakby mnie uważał za przedstawiciela tego rodzaju zwierząt.

— Zdaje mi się, że postąpili oni szkaradnie — zacząłem.

— Upewniam pana, że potrafię obronić się sam, i że nie potrzebuję bynajmniej pańskiego współczucia. Możesz mnie pozostawić samego, opartego plecami o ścianę. Jerzy Edward Challenger jest wtedy najszczęśliwszy. A teraz zróbmy co się da dla skrócenia tych odwiedzin, które dla pana nie mogą być przyjemne, a dla mnie są niewypowiedzianie niemiłe. Chciałeś pan, o ile wynioskowałem z listu, uczynić pewne uwagi odnośnie do zdań wygłaszanych w moim od-czycie?

Jego obejście było tak brutalnie natarczywe, że utrudniało wszelkie wykręty. A jednak musia-

łem przedłużać grę i szukać drogi do jakiegoś porozumienia. Na pozór zadanie to wydawało się bardzo proste. Ach, czy mój irlandzki spryt nie przyjdzie mi z pomocą w tak trudnej przeprawie?

Profesor wpatrywał się we mnie uporczywie, bystremi, stalowemi oczyma.

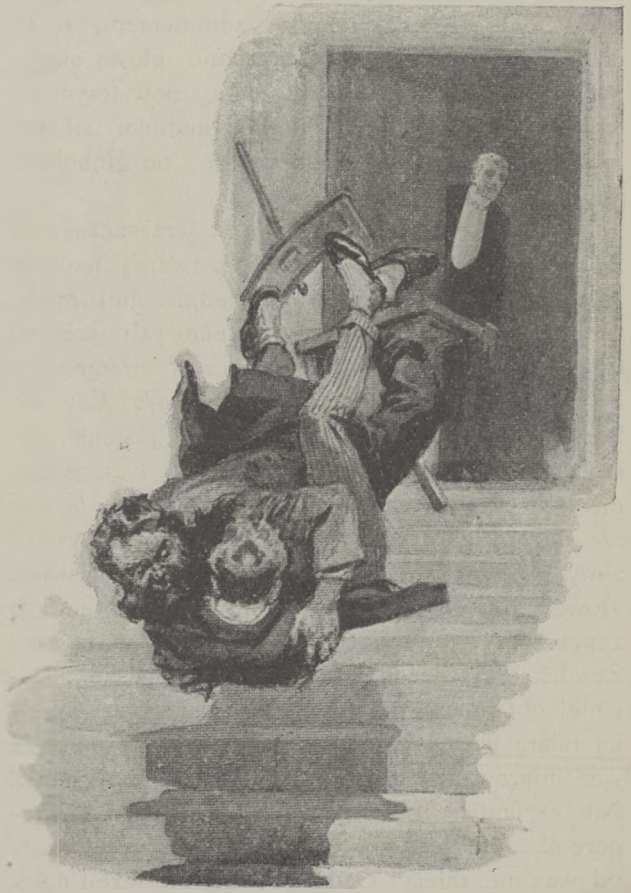
— No! dalej! dalej! — pomrukiwał.

— Jestem, rozumie się, zwyczajnym dyletantem, zacząłem z zarozumiałym uśmiechem, niewiele więcej umiem, mogę to wyznać śmiało, od ciekawego profana. Ale zdawało mi się, że pan profesor obszedł się z Weissmanem w tej kwestyi trochę za surowo. Odkrycia dokonane od tej pory... jednym słowem... czy nie poparły jego twierdzeń?

— Jakie odkrycia? — zapytał z groźnym spokojem.

— No! nie mogę przeczyć, naturalnie, że niema w nich nic takiego, coby pan profesor uznał za dowód rozstrzygający. Miałem tylko na myśli najnowszy zwrot w umysłach i w ogólnych, naukowych poglądach, jeżeli wolno mi się tak wyrazić...

Pochylił się nad stołem z ożywieniem.



Wywinęliśmy koziołka ze schodów na ulicę.

— Przypuszczam, że panu wiadomo — zaczął, zaznaczając każdy punkt na palcach, że wskaźnik oparty na budowie nauki nie stracił nic ze swej mocy?

— Naturalnie, że wiem o tem — odrzekłem.

— I że „telegonia“ pozostaje dotąd „sub judice“?

— Bez żadnej wątpliwości!

— I że protoplazma zarodka różni się od „partogenetycznego“ jaja?

— Niezawodnie! — wykrzyknąłem, chełpiąc się własną śmiałością.

— A czego to dowodzi? — zagadnął łagodnie, przekonywająco...

— Ach! otóż to właśnie! Czego to dowodzi? — szepnąłem.

— Ja panu powiem! — zagruchał słodko.

— Proszę bardzo...

— Dowodzi to — ryknął w nagłym przystępie wściekłości — że jesteś przeklętym oszustem londyńskim! Podłym, pełzającym dziennikarskim gadem, któremu brak i nauki, i taktu, i przyzwoitości w wybiegach!

Zerwał się z miejsca, a oczy jego błyszczwały szaloną wściekłością. Nawet w napięciu tej groźnej chwili zauważyłem ze zdumieniem, że to człowiek zupełnie małego wzrostu, głową sięgający mi zaledwie do ramienia, powstrzymany w rozwoju Herkules, w którym nadmiar sił żywotnych rozrósł się na szerokość, na głębokość i w rozmiarach głowy.

— Bełkotanie bez związku! — wrzeszczał profesor, oparty rękoma na stole, z twarzą naprzód wysuniętą. — To com ci opowiadał, mój panie, to był tylko bezładny bełkot naukowych określeń! Czy sądziłeś, że możesz się mierzyć ze mną, ty, z moźgiem nie większym od orzecha?! Czy sobie wyobrażasz, że wy, dyabelskie pismaki, jesteście wszechstronni? Doprawdy!? I że wasze chwalby mogą wynieść w górę człowieka, a wasze nagany zdruzgotać go? Że my wszyscy musimy się wam kłaniać, zabiegać o wasze łaskawe słowo? Doprawdy!? Tego dźwigniemy, a tamtego zepchniemy? Pełzające robactwo! Znam ja was! Zeszliście ze swego właściwego stanowiska... Dawniej obcinano wam uszy! Postradaliście wszelką miarę w sądach! Pęcherze nadęte gazem! Ja was doprowadzę do porządku! Tak, mój panie! Nie zapanujesz nad Jerzym, Edwardem Challengerem! Jest jeszcze na świecie człowiek, który od was nie zależy! Ostrzega was, ale jeżeli upieracie się przychodzić, musicie ponosić wszelkie

następstwa. Kary, mój dobry panie Malone, kary na was żądam! Wdałeś się w niebezpieczną grę i zdaje mi się, że przegrasz!

— Proszę pana! — odpowiedziałem, cofając się ku drzwiom i otwierając je. Wolno panu być brutalem, jeśli taka pańska wola... Ale i w tem muszą być pewne granice... Nie ośmielisz się pan chyba rzucić się na mnie?

— Nie ośmielę się?!

Posuwał się ku mnie powoli, a dziwnie groźnie; nagle stanął i obie wielkie łapy zanurzył w bocznych kieszeniach krótkiej, chłopięcej kurtki, jaką miał na sobie.

— Niejednego już wyrzuciłem za drzwi tego domu — zaczął powoli. — Pan będziesz czwartym, czy piątym z rzędu... Trzy funty, piętnaście szylingów za każdego, tyle to w przecięciu kosztuje. Duży wydatek, ale pożyteczny. A dlaczego pan nie miałbyś pójść tą samą drogą, co twoi bracia? Nie widzę powodu...

Zaczął znowu sunąć ku mnie, w sposób nieprzyjemny, czający się, stąpając na palcach, jak baletnik...

Mogłem skoczyć do drzwi przedpokoju, ale byłoby to hańbą... A przytem wybuchnął we mnie płomień słusznego gniewu. Przedtem wina była tylko po mojej stronie; teraz napastliwe pogrożki tego człowieka przeważały szalę w odwrotnym kierunku.

— Prosiłbym pana trzymać ręce przy sobie! Nie ścierpię tego! — krzyknąłem.

— Doprawdy!?

Czarne wąsy najeżyły się jak szczotka, a z pod nich błysnęły szydlerczo wielkie, białe kły.

— Proszę? Nie ścierpisz pan tego?!

— Nie bądź waryatem, profesorze! — zawołałem. — Na co możesz liczyć? Ważę piętnaście kamieni jak obszył, a co sobota w londyńskim klubie holandczyków biorę nagrody za gimnastyczne ćwiczenia... Nie jestem taki...

Ale w tej właśnie chwili skoczył na mnie. Szczęściem zdążyłem przedtem otworzyć drzwi, bo bylibyśmy się o nie pogruchotali. Wywinęliśmy wiatrakowego koziołka i wylecieliśmy na korytarz, a stamtąd stoczyliśmy się na dół. Zagarnęliśmy krzesło stojące na drodze i potoczyli się dalej ku drzwiom wejściowym. Miałem w ustach pełno brody profesora; ręce nasze splotły się ze sobą, ciała splątały w jeden kłęb, a przekłute krzesło wywijało obok nas młynka wszystkimi czterema nogami. Czujny Austin w porę otworzył szeroko drzwi wejściowe od przedsionka.

Wyleciawszy przez nie, wywinęliśmy koziołka ze schodów na ulicę...

Widziałem raz podobną sztukę w cyrku, wykonywaną przez dwóch braci Mac; ale zdaje się, że trzeba mieć pewną wprawę, ażeby wykonać to ćwiczenie bez szkody... Krzesło na dole roztrzaskało się na drzazgi, a my potoczyliśmy się na drugą stronę, do rynsztoka. Profesor zerwał się z ziemi, wywijając pięściami, zasapany jak astmatyk.

— Dostyc ci tego? — wysapał z trudem.

— Ty, dyabelski zwierzu, krzyknąłem, dźwigając się z ziemi.

Bylibyśmy dalej próbowali swoich sił, bo profesor rozgorzał żądzą walki, lecz na szczęście los wybawił nas z tego ohydneho położenia. Stał nad nami policyant z notatnikiem w ręku.

— Co to znaczy? Powinniście się wstydzic — przemówił surowo.

Pierwsze to były mądre słowa jakie usłyszałem od przybycia do Enmore Parku.

— Co to znaczy? — powtórzył policyant, zwracając się do mnie. — Co się to stało?

— Ten człowiek rzucił się na mnie — odpowiedziałem.

— Czy rzeczywiście rzuciłeś się pan na niego? — badał policyant dalej.

Profesor oddychał ciężko i nie odpowiadał.

— Nie pierwszy to już raz — mówił policyant surowo, potrząsając głową. W przeszłym miesiącu miałeś pan sporo kłopotu z takiego samego powodu. Dziś podbiłeś pan oko temu młodzieńcowi... Czy pan chce podać skargę do sądu? — zwrócił się do mnie.

Złagodniałem odrazu.

— Nie — odrzekłem — nie chcę podawać skargi.

— A to dlaczego? — nalegał policyant.

— Bo to się stało z mojej winy. Wdarłem się podstępem do tego domu. Ten pan ostrzegał mnie nawet.

Policyant zamknął notatnik.

— Proszę, żeby nie było więcej takich awantur — upomniał. — Proszę się rozejść!... Dalej w drogę! Rozejść się!

Te słowa zwrócone były do chłopca od rzeźnika, do jakiejś służącej i kilku przechodniów, którzy się zatrzymali. Policyant odszedł, stąpając ciężko i gnając przed sobą całą gromadkę. Profesor spojrział na mnie a w głębi jego oczu czał się uśmiech.

— Chodź pan! — przemówił — nie skończyliśmy jeszcze ze sobą...

Słowa te brzmiały złowróźnie, ale mimo to poszedłem za nim na wezwanie. Służący Austin, obojętny jak drewno, zamknął drzwi za nami.

IV.

„To rzecz najgłośniejsza w świecie.”

Zaledwie drzwi się zamknęły, pani Challengerowa wypadła z jadalnego pokoju. Drobna kobiecina była strasznie wzburzona. Zastąpiła drogę mężowi, jak zacietrzewione kurczę buldogowi. Widocznie była świadkiem mego przymusowego wyjścia, lecz nie dojrzała powrotu.

— Jerzy! Ty brutalu! — wrzasnęła. — Rozbiłeś znowu głowę temu ładnemu chłopcu.

Profesor wskazał w tył, wielkim palcem ogromnej łapy.

— Jest tu za moimi plecami, zdrów i cały. Zmieszała się, ale nie bardzo.

— Przykro mi, że pana nie spostrzegłam...

— Upewniam panią, że już wszystko załagodzono — uspakajałem zagniewaną.

— Ale jednak podbił panu to biedne oko! Ach, Jerzy! Jakie z ciebie dzikie zwierzę! Nic, tylko awantury, od początku do końca tygodnia! Wszyscy cię nienawidzą i wyszydzają... Już mi brakuje cierpliwości... Wyczerpałeś ją do szczętu!

— Brudną bieliznę... — mruknął profesor.

— To nie żadna tajemnica! — krzyknęła pani. Czy myślisz, że na całej ulicy, że w całym Londynie nie wiedzą?... Idź sobie, Austin! Nie jesteś tu potrzebny... Czy myślisz, że nie wiedzą i nie mówią o tobie?... Ty, uczony człowiek, który powinien być rektorem uniwersytetu, szanowanym przez tysiące studentów!... Coś ty uczynił ze swoją godnością, Jerzy?!

— A ty ze swoją co? moja droga...

— Nadużywasz mojej cierpliwości!... Gbur, awanturniczy gbur, oto co się z ciebie zrobiło!

— Nie gniewaj się, Jessie!

— Wiecznie syczący i zapieniony buhaj!

— Dość tego! Na krzeselko! Na pokutę! — zagrzmał nagle profesor.

Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu schylił się podniósł żonę z podłogi i posadził ją na wysokim słupie z czarnego marmuru, stojącym w kącie sieni. Słup miał najmniej siedem stóp wysokości a był tak cienki, że profesorowa z trudnością utrzymywała na nim równowagę. Niepodobna wystawić sobie coś śmieszniejszego od widoku siedzącej na wysokim słupie, tem więcej, że twarz jej kurczyła się konwulsyjnie od gniewu,

nogi wierzgały a cały korpus trzymał się sztywno z obawy upadku.

— Zsadź mnie na ziemię! — zapiszczała.

— Powiedz: „proszę!”

— Ty zwierzu! Jerzy! Zdejm mnie stąd natchmiast!

— Chodź pan ze mną do gabinetu, panie Malome...

— Ależ... panie profesorze! — zacząłem, spoglądając na siedzącą na słupie.

— Pan Malome wstawia się za tobą, Jessie! Powiedz „proszę” a zdejmę cię zaraz.

— Ach, ty zwierzu! Ty zwierzu! Proszę! Proszę!

— Trzeba zachowywać się przyzwoicie, moja droga. Pan Malome jest dziennikarzem. Wnet wydrukuje to wszystko w swojej szmacie i spręda kilka tuzinów dziennika naszym sąsiadom... „Dziwna historia wyższych kół towarzystwa” bo ty wysoko siedziałaś na tym słupie marmurowym, nieprawda? A prócz tego doda jeszcze pod-tytuł: „Rzut oka na osobliwą parę małżeńską”. Bo on się żywi żywym mięsem, pan Malome, jest „ścierwozerczy” na swój sposób, jak wszyscy na-

leżący do rodu dziennikarzy — wieprz z djabelskiej trzody. Czy nie tak, Malome? Co?

— Pan jesteś istotnie nieszczęśliwy! — wykrzyknąłem z gniewem.

Zaryczał głośnym śmiechem.

— Będziemy tu mieli zaraz przymierze! — zarzmiął, spoglądając na żonę i na mnie i wydymając swą okazałą klatkę piersiową.

Nagle zmienił ton.

— Proszę, chciej mi przebaczyć tę płochą i poufałą gawędę, panie Malome! Sprowadziłem tu pana w ważniejszym celu, niż dla wtajemniczenia w nasze drobne, domowe figle. Odejdź, kobieto, i nie gniewaj się.

Położył olbrzymie łapy na jej ramionach. .

— Wszystko co mówiłaś jest słuszne. Byłbym lepszym człowiekiem, gdybym postępował wedle twoich rad, ale wtedy nie byłbym Jerzym Edwardem Challengerem. Jest wielu lepszych odemnie ludzi, moja droga, ale jeden tylko Jerzy Edward Challenger. Więc musisz się z nim pogodzić.

(d. c. n.)

WYNALAZCY SAMOLOTU.

Jaką drogą doszli do sławy, głóśni dziś bracia Wright*). Zapewne nie jeden z was, czytelnicy, radby się o tem dowiedzieć i dlatego podajemy tu niektóre szczegóły o chłopięcych latach słynnych wynalazców.

Wilbur Wright, starszy był o trzy lata od Orvilla. Bracia razem chodzili do szkoły, razem się bawili, razem gimnastykowali i pływali. Skończyli szkołę prawie jednocześnie i wnet musieli wziąć się do pracy na utrzymanie.

Ojciec ich był kaznodzieją**) i jak wielu znacznych ludzi, nie umiał wcale „robić pieniędzy”. Starsi dwaj bracia, opuścili już byli dom rodzicielski, pożenili się i musieli pracować na utrzymanie swych rodzin. W domu pozostali tylko Wilbur i Orville z siostrą nauczycielką, pracując na utrzymanie rodziców.

Pierwszy pomysł latającej maszyny nasunął im rower, zanim wyszli jeszcze z lat chłopięcych.

*) Wymawia się Rajt.

**) W Ameryce zdarza się często, że kaznodziejami bywają ludzie świeccy, którzy utrzymują się z opłat składanych przez słuchaczy. Zapewne ojciec braci Wright należał do tej kategorii. (p. aut.)

Znali się oni na rowerach lepiej, niż ich koledzy, więc ilekroć zepsuł się rower któremu ze znajomych chłopców, bracia Wrightowie wzywani byli na ratunek.

To im też nasunęło myśl otwarcia zakładu naprawiania rowerów. Zakupili używane narzędzia, urządzili warsztat w szopie i zabrali się do roboty. Ludzie wkrótce przekonali się, że to nie-lada pracownicy!

Prowadząc warsztat, Wrightowie wpadli na myśl zbudowania „ślizgającej się maszyny” jak ją nazwali.

Pierwotny ich pomysł powstał na widok spadochronu; przypuszczali, że gdyby udało się wynaleźć coś do chwytania powietrza, możnaby wtedy spuszczać się z wysokości choćby nawet kilkuset stóp.

Zbudowali więc rodzaj latawca: dwie równe płaszczyzny, umocowane jedna nad drugą, z siedzeniem pośrodku. Początkowo mieli zamiar wsiąść na tego latawca, nadać mu rozpęd, spuścić się do podnóża pagórka i wylądować bez niebezpieczeństwa. O lataniu wtedy jeszcze nie marzyli.

Maszyna przez nich zbudowana, z drzewa i płótna, była ciężka i obliczona na jedną osobę. W pobliżu Dayton, w stanie Ohio, gdzie wtedy mieszkali, nie było miejsca odpowiedniego na próby, powieźli zatem swój przyrząd na piaszczyste wydmy wybrzeża południowej Karoliny, do miejsca zwanego Kitty Hawk.

Ale gdy tam puścili w ruch maszynę, zdumiali się sami, nadając jej rozpęd z piaszczystego pagórka; spodziewali się spaść o sto kroków poniżej, a tymczasem maszyna pozęglowała dwieście kroków. Nadali jej potem silniejszy rozpęd, licząc, że zdoła przebyć czterysta kroków, a ona przebyła... sześćset i opadła na ziemię lekko jak ptaszek! Mniemali, że uniesie jednego tylko, a ona uniosła obu braci!

I to ich utwierdziło w przekonaniu, że gdyby można znaleźć sposób popychania maszyny w kierunku poziomym, mogłaby ona utrzymać się w powietrzu dotąd, dopóki byłaby popychana. Powrócili do Dayton, postanawiając zbudować motor do maszyny. Uczyli się, pracowali i próbowali coraz to nowych pomysłów w swym warsztacie.

Do pomocy przy reperacji rowerów przyjęli mechanika, obeznanego z motorami i zbudowali z nim w ciągu dwóch lat motor, czyli silnik, który mało ważył, a jednak mógł nadawać ruch „ślizgającej się maszynie”. Założyli motor i wtedy ukazał się światu samolot.

Ale mieć maszynę do latania, a móżdż na niej latać, to zupełnie co innego.

Bracia Wright to zrozumieli, że jeżeli wywindują swego latawca na dach i puszcza w ruch silnik, latawiec pofrunie, ale niewiadomo, w którą stronę, zależny zawsze od tego, gdzie go wiatr poniesie.

Dodali więc latawcowi przyrząd, podobny do steru, za pomocą którego mogli kierować, lecz tylko w prawo lub lewo. I znowu minęło dwa czy trzy lata, zanim doprowadzili do tego, że ster podnosił latawca do góry, lub spuszczał go na dół. Dopięli jednak celu i ster umieszczony na samym przedzie maszyny, jak głowa ptaka, dawał się zniżać i podnosić.

Motor w samolocie odgrywa taką samą rolę, jak ręka, która ciągnie za sznurek latawca.

Rzucając w górę kawałek okrągłej blachy, można się przekonać, że leci on w przestrzeń i utrzymuje się długo, dlatego, że „chwytą powietrze”. Dwie płaszczyzny, tworzące samolot Wrightów, są wklęsłe, jak dwa filiżankowe spodki, odwrócone podstawą do góry. Gdy motor,

obracając śrubę, podobną do śmig wiatraka, popycha maszynę poziomo, powietrze zbierające się pod płaszczyznami, podnosi samolot do góry, a raczej podnosiłoby go, gdyby nie ciężar motoru i siedzącego w samolocie lotnika. Ciężar ten przeszkadza wleceniu w górę. Jeżeli zaś ciężar nie jest dostateczny do zahamowania, to ster hamuje zbyt szybki rozpęd w górę. Gdy motor przestaje działać, samolot spada na ziemię, ale wtedy znaczna objętość płaszczyzn, zagarniających powietrze, zapobiega zbyt nagłemu spadnięciu, byleby tylko cały przyrząd nie wywinął koziołka w powietrzu.

Kiedy po całym świecie rozeszła się wiadomość, że bracia Wrightowie wynaleźli maszynę do latania, okazało się, że w mieście, w którym mieszkali, mało kto zna wynalazców, dlatego, że bracia przebywali ciągle tylko ze sobą, a zajęci nieustannie pracą, mało mieli znajomych. A dziś niewielu znajdzie się takich ludzi w cywilizowanym świecie, którzyby nie wiedzieli o tym wielkim wynalazku i nie znali nazwiska wynalazców.

Niestety, starszy z braci Wilbur parę tygodni temu umarł, po ciężkiej chorobie.

Jest to wielka strata, bo wynalazca, zwany ojcem lotnictwa, słusznie był zaliczony do rzędu najznakomitszych ludzi współczesnych.

M. G.

B Z Y.

Pod chatami, pod białemi,
Kwitną młode bzy,
Lśnią płatkami liljowemi,
Otulone w srebrne mgły.

Kwitną rankiem, nocką kwitną,
Siejąc słodką woń,
Patrzą w cichą i błękitną,
W rozjaśnioną nieba toń.

Słonko swoje blaski zsyła,
Złoci krzaki bżów,
A zaś nocka chłodna, miła,
Niesie kwiatom roje snów.

Słychać głosy skowronkowe,
Pieśń słowicza drży,
Hej! zakwitły bzy liljowe,
Wonne, śliczne bzy!

Marya Poraska.



Pamiętkowy obchód.

Lwów święcił w końcu z. m. piękną uroczystość. Dwieście pięćdziesiąt lat upłynęło jak powstała wszechnica lwowska w nieszczęsnej epoce najazdu wrogów na Polskę, prawdziwego „potopu“, który zniszczył kraj na długie czasy. Zaledwie umilkły odgłosy walk morderczych z tatarami, szwedami, zanim zdołano ochłoniąć po tyłu kłęskach, rozumny i przewidujący król Jan Kazimierz widząc, że stworzenie nowego ogniska oświaty odrodzi w pewnej mierze naród pogębiony, założył uniwersytet w środowisku, które najbardziej na pociski nieprzyjaciół było narażone. Na razie złączono tę uczelnię ze Stowarzyszeniem Jezusowem, mającym za cel główny obronę wiary katolickiej przeciw poganom, następnie jednak, w siedemnastym wieku, rozwija się już ona samodzielnie, wydając mężów słynnych z nauki, talentu poetyckiego, i także chwały Polski, jak złotousty Skarga. Po przejściu burz i zmian wielu, po dostaniu się Galicyi pod panowanie austriackie, akademja uzyskała potwierdzenie fundacji królewskiej, i dotąd istnieje, wedle słów dyplomu: „w powadze, sile i blasku“. Nie dziw zatem, że rocznicę jej założenia obchodzono we Lwowie w sposób wyjątkowy, godny kulturalnego narodu, który potrafi uszanować swoje wspaniałe zabytki. Obchód rozpoczął się od nabożeństwa w kościele archikatedralnym, zapełnionym przez profesorów, dygnitarzy, młodzież szkolną i delegatów z trzech dzielnic kraju. Mieszkaństwo wystąpiło w strojach polskich, włościanie różnobarwnie, jak kwiaty rodzinne. Z katedry uczestnicy ruszyli do gmachu Tow. Muzycznego, gdzie ich powitano kantatą jubileuszową, chórem akademickim i wystrzałami z moździerzy, które Tow. strzeleckie na ten dzień przygotowało, obchodząc tradycyjny festyn, w Zielone Świątki: detronizację króla kurkowego! Pierwszą mowę wypowiedział rektor

uniwersytetu, a po nim zabierali głos przedstawiciele swoich i obcych uczelni. W bardzo gorącym tonie przemawiał delegat węgierskiego uniwersytetu, ale wszystkich uwagę zwróciła nieobecność pobratymczych Czechów. Jednocześnie z tą uroczystością przypadł zjazd doroczny prawników z Polski i Słowiańszczyzny, co pomnożyło liczbę przybyłych gości i uświetniło jeszcze zbiorowe zebrania i uczty. Miasto, tonące w zieleni i kwieciu, przyozdabiała chorągwie o barwach narodowych, na placach grały hymny orkiestry wojskowe i korporacyjne.



Zaburzenia.

Z powodu odrzucenia przez parlament węgierski reformy wyborczej, o które dopominało się stronnictwo socjalistów, wybuchły w Budapeszcie krwawe rozruchy. W ostat-

nich dniach maja socjaliści urządzili olbrzymią manifestację ludową, połączoną z bezrobociem powszechnym. Tłumy świętujące, zaczawszy od napaści na pracujących robotników, wstrzymały ruch uliczny przez stawianie barykad z wozów, tramwajów, dorożek i t. p. z poza których bombardowano kamieniami i cegłami wojsko i policję. W wielu punktach miasta wrzała bitwa na pałasze i rewolwery; ludzie padali ranni z obu stron. Motłoch z okrzykiem: „Niema prawa, niech żyje rewolucya!“ chciał wtargnąć do gmachu posiedzeń sejmowych, a odparty ztamtąd, niszczył wszystko, co mu na drodze stawało; latarnie przewodniki elektryczne, telefony sklepy i t. d. Gromada burzycieli, osaczona w kościele, strzelała do ołtarzy, zrzucając i deptając aparaty kościelne, dopóki jej nie obezwładniono. Jakby na urągowski, najzawziętsze utarczki wywiązały się na placu Wolności. Ustawiono, 10,000 żołnierzy, którym wszelki opór okazał się już niemożliwym. Przywódcy utracili przewagę nad zastępami wojujących robotników, skutkiem czego zamiast imponującego protestu wynikła pospolita awantura.



Po zdobyciu wyspy Rodos przez Włochów, jeńcy tureccy składają broń.

Kakao Owsiane Wedla
najzdrowsze dla dzieci.

10. 114. 9.

ZARŁADY GRAFICZNE
B. WIERZBICKI i S^{KA}

WARSZAWA, CHMIELNA 61.
46-73 TELEFONY 92-30.

KLISZE DO DRUKU JEDNO
I WIELOBARWNE.
DRUK TRÓJBARWNY.
DRUKARNIA ARTYSTYCZNA.
CHROMO I FOTOLITOGRAFIA.
ŚWIATŁODRUKARNIA.
KILOMETRO-FOTOGRAFIA.
RYSOWNIA.

TREŚĆ № 23. Sprzymierzeńcy, przez Z. Morawską (z 2 ryc.). — Z Tripolitanii (z 2 ryc.). — Zaginiony świat, przez Conan Doyle (z 2 ryc.). — Wynalazcy samolotu, przez M. G. — Bzy, przez Maryę Poraską. — Z pięciu części świata (z 3 ryc.).

DZIAŁ DLA DZIECI. Na łące, przez A. D. (z 1 ryc.). — Dzieci z Urbino (z 2 ryc.). — Paluszki, przez M. G. (z 2 ryc.) Zadania i łamigłówki.

Zadanie konikowe zgłoskowe.

Ul. Gołąbka.

a a k ł a e d k
a a a k r r r r r
l k b n m m e e
w ż a n e u e a
a i a c a c z n
m a k h ł e n z
e c z j t y o i
D i t c w o c a

Puścimy się zwawo skokami konika,
A wnet zbierzemy głoski rozproszone,
Przed cierpliwością trudność wszel-

[ka znika,

I tajemnica uchyla zasłone.

Idźmy po nitce, a z głosek powstanie
Wiązanka kwiatów, tę w sobie osnowę
I wątek mieszcza i całe zadanie;
Tych kwiatów bowiem głoski po-

[czątkowe

Poetki naszej nazwisko utworzą;
Wdzięcznej poetki, co na każdym

[kroku.

Lubiła słać piękną ziemią Bożą
I jej ozdoby w każdej porze roku.
Tymczasem konik śpiesznie prze-

[skakuje,

Kwiatek po kwiatku z głosek nam

[się snuje.

Pierwszy niebieski, polny kwiatek

[mały,

Co przypomina jak w kościele dzwonią,
Drugi z pozoru nie jest okazały,
Ale pociąga miłą swoją wonią.

Trzeci w doniczkach chodowany by-

[wa,

Ozdobnie zwiesza swe barwne kie-
[lichy,
Czwarty na polach, ugorach prze-
[bywa
Nieraz go wyrwą jak gdyby chwast
[lichy,
Chociaż ma ładny kwiatek szafirowy
Piąty zazwyczaj wyrasta wśród zboża
Wije go w wianek na śliczny strój
[głowy

I dworska panna i wieśniaczka hoża,
Szósty znów z barwy purpurowej
[słynie,
Na ogrodowych grządkach się roz-
[siada,

A *siódmy* biały na leśnej krzewinie
Daje jagódki, ptactwo je zajada.
I *ósmy* także rośnie w cichym lesie,
A kwiat ma biały, korale czerwone
Znane są wszędzie, kędy odgłos
[niesie

Swojskiej piosenki dźwięki ulubione,
Dziewiąty drzewo przystraja wspa-
[niałe,

Z zamorskich krajów do nas spro-
[wadzone,

Z rodziny grochów są te kwiaty białe,
Wonią przyjemną przytem obdarzone.
Kto już wypisał te nazwy kwiatowe,
Łatwo odczyta głoski początkowe

Do numeru niniejszego do-
łączamy dla prenumerato-
rów zamiejscowych prze-
kazy pocztowe.

WARUNKI PRENUMERATY:

„WIECZORY RODZINNE“ kosztują w *Warszawie*: Rocznie rb. 4. Półrocznie rb. 2.
Kwartalnie rb. 1. Za odnośnienie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

Z *przesyłką pocztową* w granicach państwa: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50,
kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Za granicą: w Austrii 14 koron, z dodatkami 21 koron rocznie.

„ w Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocznie.

Za oprawę dodatków bezpłat. książkow. dopłaca się 2 rb. 40 k. rocznie, t. j. po 20 k.
od tomu. Na *przesyłkę podarunków* należy dołączać kop. 40 w stosunku rocznym.

Adres redakcyi i administracyi:

Redaktor: *Władysław Umiński.*

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06. Wydawcy: *Tow. Wydawnicze „Świt“.*



R. BEYSLAG.

WIEJSKA STROJNISIA.